

Aleksander Owerczuk

Epistulae ad Proximum

Listy do Sąsiada



Aleksander Owerczuk

Epistulae ad Proximum

(Listy do Sąsiada)



© Copyright by Overchuk Oleksandr 2008, 2013
ul Doncowa d. 10-a m. 1, Lviv 79008, Ukraina
E-mail: ignorabimus999@gmail.com
www.oleksandroverchuk.com

Redakcja i skład: *Piotr Müldner-Nieckowski*, UKSW

Autor serdecznie dziękuje Państwu *Marioli* i *Gerardowi Maćko*, którzy umożliwili publikację tej książki, a także Pani Profesor *Danucie Ossowskiej* z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, Pani *Elżbiecie Szymańskiej*, starszemu kustoszowi Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie, i Pani *Marii Iwanowej*, pedagogowi, nauczycielowi języka polskiego i literatury we Lwowie – za wsparcie.

ISBN 978-83-61765-05-9

Wydanie I

Wydawnictwo AULA 2013

ul. Bluszczowa 23, 05-807 Podkowa Leśna

tel. +48 22 758 93 92, e-mail: aula@home.pl

REPLY: Zbigniew Herbert. BEZ TYTUŁU

1.

Mój stary, mój Abrahamie,
podnieś głowę.
Już dawno jest po wszystkim.
I ten upadek maleńki, nikczemny,
małżeński związek radziecki.
Wojna o garnki, klucze, klamki,
drzwi obce do świata tamtego.
Brak sił i sen zły, czarno-biały,
za duży, jak na zapomnienie.
Wiem – odjechałeś w pośpiechu.
Na ciepłym po Tobie krześle,
w sercu kuchni Gwiazdę moją
z grzechu Matka uwolniła.
(„synowie są bez winy...”)*
Konia siwego w step wypędziła.
Czapakiem kryty strzela okiem,
brzęczy lirą, szuka trawy,
hasa brukiem razem z psami
i róg złoty na dnie kuchni –
rdzeń dramatu zapomniany.
Nie mieści skrzynka świadomości,
do brzegów losu przepełniona,
litani listów Twoich do mnie,
musiałeś umrzeć, nim dotarły.
Runęły do moich stóp.
Wciąż się sypią do ramion, do ust.
Poruszam się jak w wodzie, jak w piasku.
I wysyłam maile.
Śmierć – to nie powód,
żeby nie odpisywać.
Więc piszę, jak umiem,

pilnuję dobrej formy
Prawa dawnego Magdeburgskiego
(odpowiedź – w języku podania).
W kącie kuchni pieczęć kranu
z wodą zimną secesyjną
kapie wciąż do myśli wrzątku.
Siedzę bezradny jak Pan bez wyboru
przed wyborem Narodu Wybranego.
Przyjmuję Twoje Ciało,
Ojczyzny Twojej formę
ze spustoszoną treścią.
Jest pusta jak dzwon.
Jak ulica Twoja o świcie.
Nie jem dużo i za nic nie płacę.
Może źle liczę... Nie wiem,
może się ucieszysz...
Miasto nadal się broni.
W purpurach zachodu zawieszono na krzyżach
wieże kościołów wyrwane z kontekstu –
(krople atramentalne drżą coraz częściej
w grzmotach bębnow wschodnich
zachodniego obrządku), tak zwanych –
„remontach niepodległości”.
Miasto trzęsie Górą Łysą
w niebiańskim złocie gwiazdozbioru
płynie „...wpław Pełtwą”,**
stąd chyba ten zapach,
przepraszam, coraz częściej
zasypia przed telewizorem.
Muszę zmienić dnia porę,
delikatnie i cicho,
jakby we śnie weselnym
konia pogrzebać,
wymienić nocniczek („okrągła czarna rana”),***
to – starość miasta
nieuszanowana.
Po zaciśnięciu rubieży obronnych

miasto w kuchni przechować mogę.
Aż do zmartwychwstania Dnia Trzeciego,
z wirtualnym efektem ukrytym w przeszłości.
Słucham szczebiotania,
może zatębić w róg?... Tylko jak
w czystej formie dramatu obcego?
Jeszcze rytm pozostawia miejsce dla myśli
badającej „pod freskiem” ***** dramatu korzenie.
Mój dramat – za rogiem.
Jest coraz bliżej.
Wiem – idzie po mnie.
Już w „Drugim pokoju”. *****
Idzie po moją kuchnię.
Już w Twoim garnku
tańczy barszcz ukraiński
w ogniu Matki spojrzenia.

* Zbigniew Herbert „Raport z oblężonego miasta”.

** Aleksander Fredro „Świeczka zgasła”.

*** Bruno Schulz „Sklepy cynamonowe”.

**** Zbigniew Herbert „Czytanie Liwiusza”.

***** Zbigniew Herbert „Drugi pokój”.

2.

Mój dom na zewnątrz wcale
do mnie nie należy.
Dla mnie zostało wewnątrz
niemej półpiwnicy,
pijanych dozorców
niezbadanej Ojczyzny.
Wątki żyrandol czasem
drży i niekiedy dzwoni.
Po prawosławnemu.
By nie poszerzać pęknięć
włókien mojej duszy.
Szczury mojego wnętrza
szczęśliwie dotarły
nad brzeg oceanu.
Siedzą w gorącym piasku.
Dawno nie pełnią roli
jednostki obiegowej.
Co oczekuje wewnątrz,
które opuściły szczury?
Ty, dzięki Bogu,
o tym nic nie piszesz.
Ja, więc, mam nadzieję.
Zatem trzeba jechać.
Umknąć na chwilę, zanim
jutro to się stanie.
Wstrząsające szczebiotanie za oknem
świadczy, że wkrótce zostanę
zwykłym Domem Przedmieścia,
z wklęsłym majątkiem
zmarowanego żywota.
Trzeba więc jechać natychmiast,
gdzieś do doliny Panszir,
czy do Sarajewa,
by przechować w czystości

sen Twojego dzieciństwa,
jedyne cenione
tam na obcych rynkach.
Będę mieć coś w kieszeni.
Przecież zadzwonią kiedyś
wielkiej aukcji dzwony,
chwila szczęśliwa i cicha
Audytu Ostatecznego.

3.

Ależ jak najbardziej!...
Żadnego wielkiego charakteru.
Po ukończeniu wojny
o zmartwychwstałe ciało
udokumentowano wreszcie
brak smaku żywota wiecznego.
Co dzieje się w polu prawnym
po kapitulacji smaku?
Kiedy odchodzi listopad
i zgodnie z wolą Twoją
smak wsącza się zimą
do białej płachty asfaltu.
Zostają wykryte soczyste
ślady idiotii.
Ostatnio ma nadzwyczaj
szczęśliwą płaską mordę
Ojczyzny o smaku asfaltu.
I tylko późno wieczorem,
Jak dotknę uchem różowym
włazu secesyjnego
kanalizacji cesarskiej
(bo był kiedyś cesarz)
słucham... na pamięć się uczę
rytmu smaku Twojego
nieubezpieczonego,
ze śniegiem odchodzącego.
Żadnego charakteru wielkiego.

4.

Pałacowi Bielskich, Polskiemu Teatrowi we Lwowie

Kiedy byliśmy jeszcze w teatrze,
miałem dobrą szkołę wymowy,
mówiono mi, że:
polski problem
polega na tym, że:
polskie matki przestają karmić piersią,
polskie dźwięki giną
z braku pamięci mięśniowej ust.
Nic wtedy nie powiedziałem,
ale postawiłem warunek!
I za każdym razem,
przed wyjściem na scenę
koleżanki drogie aktorki
udzielały mi w kulisach
Piersi Polskiej
przed recytacją poezji
Feliksa Dzierżyńskiego.
*„...I pytam się ziemi,
I pytam się słońca,
Gdzie droga do nieba,
Gdzie prawo do woli,
A wokół mnie ludzie
To głusi, to niemi,
I tylko to dla mnie,
Co smuci i boli...”* *
(rok 1982).
Teraz nie mam teatru,
nie mam nawet kulisy.
Jestem Ukraińcem.
Nie czytam wierszy. Wizualizuję.
Upokarzam sny o Piersi Polskiej.

* Feliks Dzierżyński, fragment wiersza.

5.

Drogi Doktorze,
mnie oskarżają
o powiększone niezdrowo
poczucie winy własnej.
Ksiądz każe się leczyć,
że wina – na zapas
że wina – na zaś,
że wina – na wyrost,
że wina – na wszelki wypadek,
zawsze pod ręką,
słodka jak winorośle. Nieskończona,
jak lato na działce. W Nowicy,
(Beskid Niski)
w pustej ciepłej chacie
drewnianej lemkowej wciąż
płynącej wzdłuż Akcji „Wisła”
rzeką wódki... A na zagrychę –
sało,
(słonina wołyńska)
świeżo po rzezi świątecznej
od Dobrego Rzeźnika
o krótkich paznokciach,
ksiądz każe się leczyć.
A zresztą...
Co mnie to obchodzi.
Poczęto mnie po wszystkim,
trzeba patrzeć w przyszłość.
Początki moje są czyste,
jak Infantka Hiszpańska
utopiona w koronkach
z nikłymi chrząstkami,
wargami mutanta.

Szkoda zdrowia się leczyć.
Znów grzebie się w śmieciach pamięci,
może uda się przemknąć
pomiędzy winą,
zagubić się w winie,
gdy wody brak,
a wino dzikie,
jak zakochana sarna, piękna,
jak brzoskwinia – wnuczka ocalałych
Ania
z cukierkiem na dnie kieszeni
zakurzonym po Dziadku.
Stoi niewinna na uznaniu winy,
uśmiecha się ufnie
nie puka do piersi, nie odmawia,
może – nie słyszy, może – nie mówi, czy..
Uzdrowiona.

6.

Mój grzech wybiera się na urlop.
Gorliwie broni własnych praw,
swobody sumienia, słowa, poruszania się.
Słowem...,
prawa do życia.
Ciągłe szuka dobrych rąk
kapłana, czy „pocziwej Józi” *,
prasującej pelerynkę ministranta,
by zabrznieć w gęstej wiązce
kluczy do kościoła. Zresztą...,
najważniejsze – nie jest obojętny.
Nie jest cyniczny, jest...
raczej, sentymentalny.
Niech jedzie...
Wypędzam go, jak mogę,
chwilowo jestem sam.
I popęd swój niosę do Ciebie,
w garści uszlachetniony.
Składam na ołtarzu.
Leży...
Nie pali się...
Czy, może, za mokry,
czy za słony,
czy ogień byle jaki.
Leży na płycie marmurowej
bez sensu.
Nawet nie dymi.
Dyszy...
duszy pokój.

Nie śpi, myśli, czeka...
Szybciej, bliżej, „tętni,
dudni, pędzi, goni...
Stanął, wrył.” **
Wrócił.

* Zbigniew Herbert „Czytanie Liwiusza”.

** Stanisław Wyspiański „Wesele”.

7.

Wczoraj, jak powiedziałeś,
paliłem wspomnienia, wyrzucałem pamiątki.
Zdjęć kilka i
parę włosków,
co pozostały po niej
na mojej koszuli,
by w „nowy życia strumień” * wstąpić.
Myślałem, że zasnę...
Może spalić koszulę?

* Zbigniew Herbert „Prolog”.

8.

...Ona potrafi nawet
przymknąć oczy na formę.
Jego...
Ta giętkość smaku
sterylizuję protest.
W obojętności rodzi
kolejne oktawy orgazmu.
Po macoszemu przyjmę
nową porażkę Autora
(do biblioteki gminnej).
I w labiryncie niemych
suchych urwistych stelaży,
wkłada pomiędzy książki
listy wystygłe do Niego.
Niepodpisane, bez daty,
z dzieckiem przy piersi poradzi
przymknąć oczy na formę.

9.

Matce

Włosy Matki zgubione,
pióra myśli powrotów,
uparte przyływy grzechu,
swawolne, przegapione,
(włosy się wrzuca do pieca,
by wiedźma się nie bawiła),
włosy z odłączonym
o...grzewaniem centralnym,
o...kruszyny obłoków
na dnie dębowym parkietu
wciąż szukające palców
dziecięcych do rozplątywania
kokonów nici chińskiej
na ukraińskim fragmencie.

10.

Na początku pamiętam była
igła z nicią i Matka,
i szczęście świeżo wycerowane,
wyniesione za progi domu,
pozostawione w szafie powszechnej,
dokąd się nie powraca.
Więc dalej szedłem nago.
Też dopasować chciałem
coś optymalnego
do swojej nagości, lecz było
albo za ciasne, czy luźne,
nigdy w sam raz, tylko jakoś
wobec mnie obojętne,
ciągle wiało zimnem.
Więc powracałem myślami
do zagubionej szafy
(Matka już wtedy nie szyła,
czy, może za gruba nić była,
czy, oczko igły za drobne)
mile uśmiechnięte oczko
w Ojca wierzącej Córki.
Ukrywam więc jak potrafię
nagość upartą swoją
wyłazi jak siano ze spodni.
Nieraz w nocy
odkładam czarne okulary,
i dwa drobne oczka nagości
w bezradnym niepokoju
o spojrzeniu Matki
kiedy jednak została sama
wyzierają zdziwione z głębi
ciała galaretki.
Szukają zapachu szafy..
Moja wina.

11.

(Portret Wiary we wnętrzu)

Kiedy, czasem, myślę o Niej –
nie pamiętam twarzy,
nie mogę się skupić.
Wtedy zamykam oczy,
tak żebym w okruszynach
spojrzeń żartów i westchnień
mógł Ją rozpoznać i rzec:
„Oto – wiary mojej Tajemnica”,
nigdy
nie potrafiłem Jej sportretować.
Rzeźbię wiarę obcą, to – tak
jakby zimną ręką.
Wtedy się budzę, gdy śni mi się,
„smukła i kaligraficzna” *
na pustym peronie,
coraz mniejsza... Znika.
Wraca na piechotę,
o świcie zasypia.
Budzi się... sama.
Wtedy, chwilowo uwolniony,
uzmysławiam treść wydarzeń.
Gdzieś w scenach pierwszych
pamiętam konfesjonał –
kamień do wyrzeźbienia
popiersia spowiednika,
„...kamień wody nie pije...” **
„...na którym mnie urodzono”.***
Żadna wiara żadną miarą
nie ma mnie na stałe.
Wszędzie znajdę talerz
zupy obojętnej
od zakochanej karmelitanki.
Dla każdej – osobna firanka.
Zostawiam po sobie zapach
uśmiech i zapomniane
części garderoby... to – bez sensu.

Któraś się już nie odzywa,
może się, wreszcie, spełniło,
i...
wierny normalny u progu
modłę się za Nią wieczorem.
Wracam do wiary nominalnej.
Naprawiam kran, wynoszę śmieci.
Nawet zaczynam znów rzeźbić
delikatny woreczek przemęczenia
pod Okiem Opatrzności.
Z wysokości lotu ptaka
oglądam Wiarę w dłoni
i tylko Córka wierzy we mnie.
Wtedy wracam na peron,
sprawdzam gęstość powietrza
po Niej. Wiem, że jak bocian
wrócę na wiosnę pod bramę,
uda, że nic się nie stało –
prawdziwie inteligentna,
jest samowystarczalna,
mnie coraz mniej potrzebuje,
wie, że niedługo się znudzę,
jak zwykle, wciąż jestem młody,
że tylko sił, nagle, braknie,
czuję że z rana sztywnieję,
jak genialny aktor
bezrepertuarowy,
po nocy szukam roli,
pokój Pański odnajduję
w prostowaniu zużytych gwoździ,
dbam o wątek moralny,
o całokształt bryły parafii
i tylko strach uparty,
zanim uwierzą we mnie,
czy zdążę do Nich na czas?

* Bruno Schulz „Sklepy cynamonowe”.

** Karol Wojtyła „Przed sklepem jubilera”.

*** Zbigniew Herbert „Moje miasto”.

12.

(Róża Cienia)

Kasi

Róża trudnego losu
w cieniu kościoła
za ścianą Północną.
Drobna, ostra, bez zapachu
nie patrzy w oczy.
Ani kościół przesunąć,
ani cień wykasować,
i tylko Mały Książę
uczy cierpliwości
do Żmii... Zastanawiam się,
czy nie wybudować w Cieniu
Domu Miłosierdzia
po tamtej stronie Księżycy,
dla róż drobnych, twardych, szczupłych,
niezłomnych, bez szansy,
ani do ślubu, ani do pogrzebu –
do niczego.
Wiem dobrze – sprzedają
za rogiem róże normalne
Kaj i Gerda...
Lecz nie mogę tam wejść,
wstąpić do Bajki Nowej.
Dochodzę do rogu i... wracam,
depczę się w bajce tamtej,
przeżywam, przeżuwam,
już nawet potrafię przejść,
nie zamykając oczu,
obok okruszyn fruwających

Lustra Lucyfera.
Zostało tylko serce
otwarte, sentymentalne, narażone,
został ostatni pocałunek
Królowej Śniegu
by nigdy nie było zimno.
Niech tylko...
powróci z Południa.
Szczęśliwa, opalona, pełna sił,
i... pocałuję.
Muszę się przygotować.
Więc siedzę w Cieniu Wieczystym
za ścianą Północną kościoła,
maluję Bajkę Starą,
w płomieniu ostatnich metrów
słońca spadającego,
i tylko Roża Cienia –
najwyższą nagrodą.

13.

(Wigilia)

Po zamontowaniu witrażu
(zdążyłem jednak),
znalazłem się po tamtej stronie,
na rusztowaniu od ulicy.
W środku zaczynała się Pasterka.
Schodząc ostrożnie na dół,
trzymałem się Gwiazdy spojrzeniem.
Płonęła, tańcząc, w perspektywie
pokrzyżowanych dech.
Już miałem za sobą
szklane niebo aniołów,
kiedy zszedłem do sedna fabuły.
Rodzina Święta poruszona,
tylko bez błysku w oczach,
czuwała nad Zbawicielem.
Pamiętam – rysowałem w pewności,
że dokonuję dobrej roboty.
Dopiero teraz, w światłach wnętrza,
odkryłem ułomności:
brak treści w spojrzeniach,
zbyt teatralny gest (jako echo tradycji),
emocja jałowa, kompozycja
„bez większych wymagań” *,
kiedy gubi się myśl przewodnia.
Może tylko Ojciec (że tak powiem) –
bardziej naturalny,
ma zadartą głowę i patrzy na mnie.
Odwróciłem się... Po chwili
zszedłem do krów, kozłów, lwów.
Wpatrywali się modlitewnie w głąb siana
ruszając nosem.

Poniżej siana – duża lista sponsorów,
więc już byłem na dole.
Usłyszałem dzwonki – klęknąłem.
Katedra płonęła wewnątrz
w ogniach nieklamanej radości.
Nie odfrunąłem do nieba po pracy,
czułem się niejako,
że cała przyjemność „świeżość gwiazd i śniegu” **
została po mojej stronie.

* Zbigniew Herbert „Czytanie Liwiusza”.

** Bruno Schulz „Sklepy cynamonowe”.

14.

Zobaczyłem w lustrze napis
dokładnie nad wejściem do duszy,
że jest zamknięta
(nawet w lustrzanym odbiciu),
chwilowo nieczynna,
odtąd, jak On ją opuścił
na lato. Pobielić czubki gór.
A że wkrótce się jesień kończy –
rozumiem, że już nie powróci.
Chyba zmieniły się plany,
nie zawiadamia też... milczy.
Drzwi są niedomknięte,
w pośpiechu bezczelnym,
uciekał jak szczurek kościelny,
czyż było tak źle.
Domknąłem.
Na ogłoszenia, że wynajmuję,
wolne przestrzenie duszy
nikt nie reaguje,
czy warunki za słabe,
czy miejsce nie najlepsze.
Oferta gratisowa
budzi podejrzenie.
I słusznie...
Wylewność nieopanowana.
Bezodpowiedzialna.
Niestety nie mogę dopłacać
do miłych dla duszy gości.
Wysoki zbyt czynsz.
W nocy, jak budzę się – widzę
w szparach światelko nieśmiałe.
To sprzęta dozorca.
Pali w kominku wspomnienia –
rachunki ubiegłego sumienia.

15.

Po Eliaszu prawosławnym,
gdy lata upały pękają
a w miodzie świec stopionych
strumień otuchy jesiennej
głaszcze policzek nocy,
przekroczył próg mego okna
suchy komar sierpniowy,
chudy, przeźroczysty przetrwał,
na dnie piekielnym
Rosji południa.
Kraży pod sufitem jak pająk kościelny,
bez żadnej złej myśli
wokół ciała mego.
Wreszcie usiadł na serce.
Nigdy nie mogłem pojąć,
czy tak było zawsze,
czy po Upadku dopiero.
Człowiek – pokarmem.
W Raju nie byłem,
jabłek nie jadłem, najdalej
jeździłem do Polski.
Siedzi na sercu, pogrążony
w ciele moim.
Południoworosyjski.
Tuczy się...
Wypadałoby zabić.
Tyle krwi zmarnowanej...
katolickiej.
I znowu noce bezsenne,
„Znaki złego sumienia”*,
głowa popiołem przy kolejnym
zabitym źródle poezji.

* Bruno Schulz „Sklepy cynamonowe” (Karakony).

16.

Wiesiowi Rudzkiemu

Ostatnio coraz częściej,
służbowo regularnie,
upija się mój Anioł Stróż.
Podpiera się skrzydłami.
Prowadzę Go po nocy
do Bramy Jego Domu.
Na pustym skrzyżowaniu
wygasłej śpiącej Woli
wierzymy w sprawność świateł,
czekamy na zielone.

17.

Fredziowi

Zanim Fredzio umarł,
z domu odeszły koty,
jak szczury,
jak przed trzęsieniem ziemi
opuściły dżungłę
Lwowa
na Zniesieniu.
Jak kiedyś dawno we wrześniu
(a był to tylko początek),
kiedy miały pozostać
w mroku trzydziestym dziewiątym.
Szły ulicami przed siebie
w Noc najważniejszą roku
do Ojca nieśli pod pachą
Fredzia polskie zapachy.
Cicho minęły Katedrę,
i nie patrząc w oczy,
witały się wieloznacznie:
«Христос Воскрес!»

18.

Ojcze mój,
któryś jest w niebie,
zadzwoń do mnie.

PS. Свят Вечір*

W grudniu śniegu nie było. Ścierając kurz, pędziły puste tramwaje. W zmrzonym powietrzu wiatr rzucał śmieciem i rzadko kto bez pilnej potrzeby wkraczał w głąb tego terroru. Grudzień błądził bezskutecznie w poszukiwaniu śniegu – miasto odwróciło się od siebie.

Ten grudzień był doprawdy marny. Jak dziad z łaski Bożej, potykał się o zasznurowane, zakneblowane życie i z uśmiechem głupim obchodził je kołem. Gwizdał w bramach. Trzaskał złośliwie zapomnianym lufcikiem. Pilnował wystawionych na mróz, naszykowanych do ucztę świątecznej baniaków. A w nocy wymrażał na kość sznurki przypiętych do balkonu dziecięcych saneczek i modlił się o śnieg.

Zbliżała się Pora. Dzień rozdmuchiwał swoją drzemkę, leniwie zbierając się w garść. Wyprzedzając się wzajemnie zamykały się sklepy, przedłużając w nieskończoność poszukiwania wysłanych po zapomniane zakupy mężczyzn. Jak zagubione szczeniaki błąkali się okolicą, aż wstydliwie zaczęli witać nawzajem, po czym radośnie włamywali się w drzwi pierwszej lepszej knajpy, gdzie czas nie miał sensu.

Opuszczone przez nich domy oplatały się szczelniej kokonem kobiecości. Nieodwracalnie krzepła hierarchia relacji domowników, oddając miejsce stróża ogniska domowego rozpalonym hefajstosom o delikatnych ramionach babek, które pilnowały płomienia, szerokim gestem przejmując fragmenty swoich fantazji: skrwa-wione przetarte buraki, zdewastowane orzechy, zwariowany chrzan i obrażone spojrzenia asystentek świadomych, że pomysł do nich nie

należy. Taki stan rzeczy przyjmowano bez złudzeń i z zamkniętymi oczyma, przez co mimo woli pompowało się i tak podniesione do pozycji krytycznej ciśnienie prawd niewypowiedzianych. Dzień przekraczał zenit świątecznych napięć. Rozpalone, z szalonym spojrzeniem, te zgarbione szamanki rodzinne z coraz większym trudem utrzymywały lejce ostatnich faz świątecznego tworzenia. Gdzieś na marginesie świadomości, ostrożnie i na paluszkach przepływała nieulożona do końca myśl o wysłanych po zakupy mężczyznach. Ale po co i kiedy, nie pamiętało się, a zresztą już nie miało to żadnego znaczenia. Nadchodził moment największej odpowiedzialności. Niektóre wespół, inne w samotności, klękały, zaglądając do okienek piecyków. Tam, w ostatnich chwilach ciąży rozpalonej, dochodził do siebie sens, jedyny mogący zaświadczyć o wysokiej randze pomysłu. Niektóre zrywały się z kolan, przypominając sobie o niedopilnowanej proporcji wysłanej do salonu potrawy. Głośno wkładały do pustych drzwi korektę i z powrotem klękały. Niektóre udawały, że nic się w ogóle nie dzieje, i żeglując we wrzątku wielką łyżką drewnianą, kończyły rzeźbić uszka do barszczu. Ale najbardziej doświadczone nie podnosiły się z kolan. Zespolone spojrzeniem z piecykiem czuwały, by nie przegapić momentu i stanowczo zagasić płomień w chwili najsmaczniejszego przeistoczenia.

Zapach. Zapach gotowości dochodził do pozycji krytycznej i żeby nie rozsadzić ścian, sączył się przez szpary okien i drzwi. Zgęstniały na mrozie, niepewnie i po omacku owijał okolicę. Nie opierało mu się nic. Nie było jak i po co. Wszyscy skazani byli na łyk świeżej nowiny.

Tknięci przypomnieniem mężczyźni odrywali głowy od stołów knajpy, przezornie pociągając nosem. Niepewnie podchodzili do okien, ostrożnie wpatrywali się w niebo, po czym wybiegali na złamanie karku i na wyścigi pędzili do domów, ażeby głośno stanąć w drzwiach z nieco przeterminowaną, ale wciąż jeszcze obowiązującą repliką: „Pora!”

Już prawie wychodziłem z domu. Stojąc w drzwiach, sznurowałem but i kątem ucha słuchałem głosu matki. Niemal nigdy nie przemawiała do mnie wprost, wiedząc, że już nie da się mnie zatrzymać. Głos dochodził z głębi kuchni, owinięty obronnym całunem zapachów. Znałem na pamięć treść słów, których jedynym tematem była troska o mój głód. Barszcz, kasza, chleb układały się do mojej świadomości w hierarchię dnia bieżącego i kiedy już nie było nic do dodania, jak dwa różne kalendarze – przewracaliśmy pozostałe kartki swojej uwagi, szykując wnękę dla naszej miłości. Oglądając się przy wyjściu, zawsze spotykałem oczy po kryjomu mnie żegnające, otrzeźwiające jak koperta po kolędzie. Matka ze smutkiem postrzegła, jak wartości rodu rozcieńczają się we mnie obcą gwarą. Po krótkiej, zrozumiałej tylko dla nas rozmowie wynosiłem z domu niezdefiniowane poczucie winy.

Z Piekarskiej odbiłem w górę do Łyczakowskiej, pamiętając, że z rana chciałem oddać zegarek do naprawy. Jak chorego kotka niosłem go w bocznej kieszeni, wątpiąc, czy zdążę na czas. Nie pamiętałem dokładnie, kiedy się kończy gwarancja. Zegarmistrz siedział niedaleko kościoła św. Antoniego, prawie naprzeciwko bazaru. Zapatrzony w zegar, przywitał się mechanicznie, ucinając wszelkie pytania. Bardzo

lubielem oglądać jego wielką źrenicę otuloną tarczą szkła powiększającego.

Przy bazarowych schodach stała beczka z rybami. W miarę zbliżania się coraz wyraźniej słychać było szum ich walki z zamarzającą wodą. Tuż obok w popołudniowych promieniach z wielką podrywką wędkarską stał gospodarz i by ułatwić wybór, przekładał apostołskim gestem z beczki do maleńkiej wanienki dziecięcej drżące rybce ciała, klekoczące kosteczkami lodu.

Kiedy się stawało plecami do słońca, widać było, jak zza rogu niektórzy przechodnie ostrożnie i szybko niosą na ramionach drzewko. Przez te wszystkie lata powojenne pierwsze grudniowe choinki zawsze pojawiały się nie wiadomo skąd i znienacka. Ktoś słyszał, że w pobliżu – podobno – jest mieszkanie starej panny, gdzie właśnie można nabyć choinkę. Ale gdzie ta Polka mieszka, nikt nie wiedział.

Przepelnione świątecznym dostatkiem mięsne stragany bazaru lśniły perłowymi chrząstkami przegubów cielęcych. W czujnej medytacji majaczyły nad nimi, otulone marmurem fartuchów popiersia bab. Prawie nie otwierając ust, w drzemce pozornej wymieniały się nawzajem celnym półsłówkiem, czuwając nad bieżącym dniem. Lustrowały każdą jego chwilę. Ślizgając się spojrzeniem po przypadkowych klientach, wyszukiwały wśród nich swego, mogącego o kolejną piędź przedłużyć sens dnia. Każdą chwilę odmierzały, odważały, porównywały. Obliczały rozbieżność między swoimi pragnieniami a rzeczywistością. Mięsistymi garściami przekładały ze stosu na miejsca uwolnione cielęce kule perłowe, jednocześnie rozkręcając za sobą gilotynę rzeźniczej siekiery, którą w niedokończonej elipsie dopędzał trzask łamanej kości. Każdy ten

trzask rozdrabniał, doprowadzał do normy koniecznej wszystko, co przekraczało wąty sens bazaru. Głuchy jęk siekiery rozpędział bazarowe psy, wracające po chwili z dominikańską wiernością, ażeby dopóki rzeźnik czyta gazetę, pospiesznie wylizać miejsce egzekucji.

Raz do roku podobne odwiedziny bazaru kończyły się dla mnie za rogiem, w bramie kamienicy, której zewnętrzna ściana odcinała plac bazaru i powstrzymywała jego ślepe rozmnożenie. Ten grudzień był w dodatku przestępny. W ciszy bramy nikło słońce. Gdzieś na górze bardzo wyraźnie słychać było krzyk dziecka. Pijana podłoga, klucząc mokrymi zakrętami, zawiązywała się włazami kanalizacji i ciągnęła się w górę na parter i piętro wyslizganymi, pachnącymi praniem deskami schodów. Zresztą był to już raczej stary drewniany instrument muzyczny, którego każdy schodek budził nowe oktawy.

Żeby uniknąć zbliżającego się krzyku, trzeba było dawać nurka pod schody, do tylnego wyjścia z jaskrawą przerębłą nieba wewnętrznego podwórka. Tam, przyciśnięte płytą balkonową trwały jeszcze nieliczne wysokie, kamienne stopnie, przeskoczywszy które, trafiało się do parterowego poziomu podwórka. Tutaj można było odsapnąć i już z mniejszym zawstydzeniem patrzeć w zaniepokojone twarze, pojawiające się w okienkach podwórkowej studni. Jak zaczepione siostry klauzurowe, niosły te blade twarzyczki z góry w dół i z powrotem wieść o przekroczeniu przez obcego progów domu. Opasane dwoma piętami balkonów podwórko po cichu zmartwychwstawało. Niechcący potrącona przeze mnie kółdra codzienności ześlizgnęła się bezpowrotnie i odkryła nagość niesytej ciekawości. Ten prymitywny odwieczny popęd nie miał tutaj

szansy zabrzmieć w pełni i tym razem też stać go było tylko na udekorowanie górnego balkonu domu małym chłopczykiem, którego ciekawość darowała satysfakcję całej reszcie. Patrzyliśmy na siebie, niczego nie oczekując. Stał nade mną przy poręczy, puszczając na dół mydlane bańki. Obok parkanu powstrzymującego bazar było widać, jak przemarznięte płachty bazarowego zadaszienia gromadziły się wokół fasady i sygnaturki kościoła św. Antoniego. Tu, hałaśliwe i kotłujące się przez cały rok gniazdo, raz w tygodniu i w święta milkło w dzwonie kościelnym.

„Czy pan czegoś sobie życzy?” – usłyszałem nieco z dołu głos. Zawsze w tym momencie w drzwiach wspólnego korytarza pojawiał się Stefko, w pierwszym ostrożnym zdaniu próbujący wyczuć język obcowania. Z lekkim zażenowaniem, paląc papieroska, uśmiechał się ostrożnie, stał w kapciach z gołymi piętami.

„Тут жив поет... Я зайшов...”** – usprawiedliwiałem się z trudem.

Oczywiście nie pamiętał mnie, jednak dokonał już wyboru języka i troskliwie, po gospodarstwu pokierował mnie z powrotem do bramy, gdzie właśnie trwało mieszkanie Poety.

„Рік назад приїжджала його сестра... У річницю смерті...”*** – poufnym głosem zbawiciela oprowadzał Stefko po ukraińsku. W pośpiechu dziękowałem, starając się jak najszybciej pozbyć widoku gołych pięt na mrozie.

„У мене є його книга... Віршів... Вам не потрібно? Недорого.”****

Dałem nurka z powrotem w trzewia korytarza i adaptując się powoli w ciemności, sunąłem do przodu, macając ściany i włazy. Po lewej zauważyłem półotwarte drzwi, jak domyślałem się – tylne, do magazynu sąsiedniego sklepu. Nie

pamiętałem tych drzwi. Nie było ich, kiedy wchodziłem. W środku, cicho i w skupieniu, súbiecki dzielili dobiegający końca dzień. Z przodu mgliście majaczyło wyjście. Powlokłem się do światła i opuściłem dom. Przypomniałem sobie, że zegarmistrz zwrócił mi zegarek, gdyż nie nadawał się już do naprawy. Czułem go ciągle w kieszeni.

Wzdłuż Łyczakowskiej przypięci do choinek płynęli spóźnieni. Kłapiąc zamykającymi się lądami bazaru, ulica wkraczała w zmierzch. Niebo wypuściło pierwszą dawkę gwiazd. Dookoła sygnaturki kościoła wigilijnie krążyły pękające w dziecięcym krzyku mydlane bańki. Na bramie jeszcze się dało przeczytać: *Личаківська 55. Тут жив Збігнев Герберт ******.

* Wigilia.

** Tu mieszkał poeta... Przyszedłem...

*** Rok temu przyjechała jego siostra... W rocznicę śmierci...

**** Mam jego książkę... Wiersze... Nie potrzebuje Pan? Niedrogo.

***** Łyczakiwska 55. Tu mieszkał Zbigniew Herbert.